NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 17 marca 1923. Nr. 11.

Gwałty niemieckie w Zagłębiu Ruhry



Rozbrojenie policyi niemieckiej w Essen: 1) Rozbrojeni policyanci opuszczają gmach policyi 2 i 3.) za nimi wychodzą z gmachu urzędnicy cywilni i wojskowi oraz personal kobiecy. 4.) Rozbrojony szef policyi niemieckiej w nowej roli.

Morderstwo w teatrze.

Widownią niezwykłej zbrodni był teatr miejski w Katowicach. W czasie przerwy po pierwszym akcie jeden z dyżurnych policyantów zauważył poszukiwanego oddawna przez policyę zbrodniarza, który, spostrzegłszy, że policyant do niego się zbliża, wystrzelił z rewolweru, raniąc policyanta ciężko. Na odgłos strzału drugi policyant pospieszył z pomocą, lecz znajdujący się również w teatrze inny opryszek strzelił do nadbiegającego policyanta i zabił go na miejscu.

Obaj złoczyńcy zdołali ujść, ale w kilka dni po tem morderstwie zdołano wykryć kryjówkę zbrodniarzy w domu na rogu ulicy Warszawskiej i Lubeckiego w Katowicach. W chwili, gdy bandyci wychodzili na ulicę, policyant rzucił się na jednego z nich i powalił go na ziemię, lecz bandyta wyciągnął szybko rewolwer i strzelił, raniąc śmiertelnie ajenta, poczem rzucił się do ucieczki. W tej chwili jednak bandyta padł trupem ugodzony w głowę celnym strzałem drugiego ajenta. Drugi opryszek ostrzeliwał się, raniąc dwóch pocyantów oraz przechodzącego robotnika.

Między drugim zuchwałym bandytą a oddziałem policyi rozpoczęła się zażarta strzelanina trwająca około trzech godzin. Zbrodniarz wpadł do pobliskiej restauracyi, ale policya dała do niego salwę przez okno. Bandyta jednak zdążył uciec i wdrapał się na dach, skąd ukryty za węgłem domu bronił się zażarcie. Widząc wreszcie, że jest osaczony uciekł do piwnicy, gdzie jeden z policyantów zdążył go zastrzelić. Zabity opryszek, nazwiskiem Stolarz, widocznie herszt bandy, miał przy sobie 5 milionów marek.

Niezwykłe morderstwo w teatrze oraz kilkogodzinna walka, jaką w kilka dni po tem stoczyli zbrodniarze z policyą, wywołała w Katowicach ogromne wrażenie.



W rocznicę koronacyi Piusa XI.: Papież Pius XI. w nowej tyarze w czasie uroczystości w kap. Sykstyńskiej.

W rocznicę koronacyi Piusa XI.

W pierwszą rocznicę koronacyi papieża Piusa XI. odbyła się ceremonia zwana „solenną kaplicą papieską“. Według relacyi korespondentów, nawet ci, którzy nie po raz pierwszy brali udział w uroczystościach w Watykanie, wyszli stamtąd wzruszeni i jakby olśnieni widokiem tych sal wspaniałych, gwardyi szwajcarskiej, żandarmeryi papieskiej, camerierów, gwardyi szlacheckiej, kardynałów w barwnych sukniach, tej gamy kolorów, bogactwa, wykwintu, dziwnych dla oczu naszych przyzwyczajonych do bezbarwnej szarości dzisiejszego życia tłumu.

Na samym wstępie gwardya szwajcarska w mundurach czerwono-żółtych (według podania skomponowanych przez Rafaela) z halabardami w ręku i w kaskach na głowie, przerzuca nas w czasy Odrodzenia. Żandarmi papiescy wspaniale wyglądają w wysokich futrzanych czapkach, frakach szeroko wyciętych i obcisłych białych spodniach z epoki napoleońskiej, a tu piękny kawaler „di cappa e spada“ cały czarno ubrany, w berecie z piórami, w atłasowym stroju, rękawach bufiastych, czarnych jedwabnych pończochach, trzewikach z klamrami, i wielką hiszpańską kryzą koronkową w koło szyi, a cienką szpadą u boku jakby wprost wycięty z obrazu Velasquez'a.

Ceremonia ta nie miała jednak charakteru pompatycznych uroczystości odprawianych w kościele św. Piotra. Odbyła się w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie żadna zbyteczna dekoracya nie odrywa oka od arcydzieł Michała Anioła rozpostartych na sklepieniu i ścianach. Miejsce zarezerwowane dla publiczności było bardzo ograniczone, bo dwie trzecie kaplicy zajmują: tron papieski, stalle kardynałów, biskupów i prałatów, dwie trybuny, dyplomacyi i szlachty rzymskiej. Nad ołtarzem wisi wspaniały aras i wznosi się baldachim z czerwonego aksamitu ze złotą frendzlą. Zaproszeni goście, którzy się do kaplicy dostać nie mogli, cisną się w salach sąsiednich czekając na pochód. Kobiety ubrane czarno według przepisu, w koronkowej mantyli na włosach, mężczyźni we frakach i białych krawatach, wśród księży, zakonników i zakonnic wszelkich narodowości i reguł. Bronzowa sukienka św. Franciszka, obok białego rabatu księży francuskich i ponsowej sutanny alumnów niemieckich z Collegium Germanicum. Widzimy twarze różnobarwne, księdza murzyna przy nim żółtego, południowców o śniadej cerze i białoróżowych ludzi z północy. Słyszymy gwar różnojęzyczny, rozróżniamy europejskie języki, francuski, angielski, niemiecki, polski i różne dziwnie



Humanitarne dzieło: Wychowankowie i kierownicy Miejskiego Zakładu dla bezdomnych chłopców w Krakowie.



Humanitarne dzieło: Brat Wincenty, dziesięcioletni kierownik krakowskiego Zakładu dla opuszczonych chłopców.



Morderstwo w teatrze: Zewnętrzny widok teatru miejskiego w Katowicach, w którym dokonano zbrodniczego napadu na policyantów.

brzmiące dyalekty, a wszyscy ci ludzie tak dalecy, tak obcy sobie, tak różnych ras i pochodzeń, skupieni są w jednej myśli, w jednem oczekiwaniu.

Pochód się ukazuje. Oto na przodzie prokuratorzy kolegialni, prok. generalni zakonów żebrzących, „Bussobanti“, kapelani honorowi i kapelani zwykli niosący mitry papieskie, adwokaci konsystorscy, camerierzy honorowi i camerierzy sekretni, kolegia prałatów, kolegia kleryków Izby apostolskiej i audytorzy. Krzyż papieski niesiony i otoczony przez gwardyę szwajcarską, a za nim kardynałowie w purpurze i gronostajach. A nad nimi, nad tłumem, niesiony na sedii gestatorii Jego Świątobliwość Pius XI. Nad czołem jego lśni i gra tysiącem ogni wspaniała tyara, bogaty dar Mediolańczyków, prawa ręka wzniesiona błogosławi tłumom, które witają go grzmiącym, entuzyastycznym okrzykiem: „Viva il Papa!“



Humanitarne dzieło: Grupa wychowanków krakowskiego Zakładu dla opuszczonych chłopców przed pierwszą Komunią św.

Humanitarne dzieło.

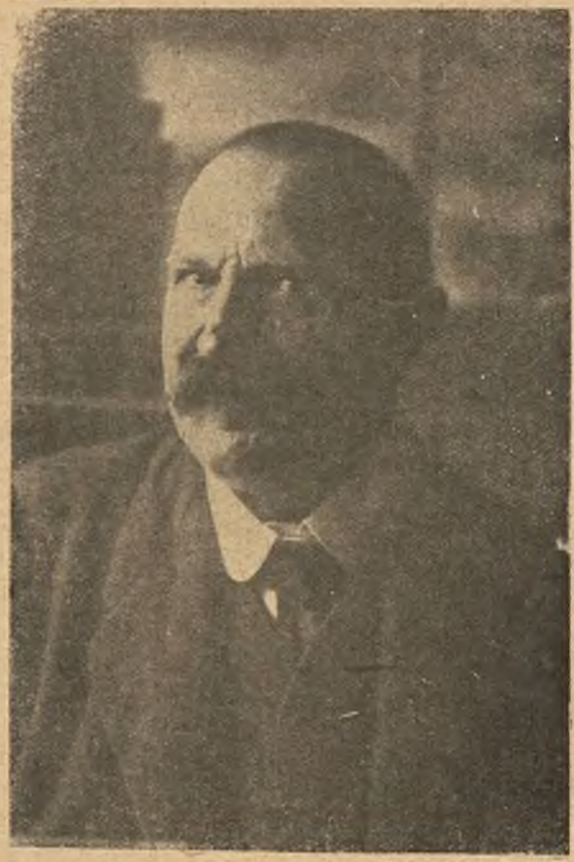
Potrzebę zajęcia się losem opuszczonej dziatwy już dawno odczuwano w Krakowie, ale dopiero przed dziesięciu laty został uczyniony pierwszy w tym kierunku krok, przez otwarcie przy ulicy Flisackiej na Zwierzyńcu „Miejskiego zakładu wychowawczego dla bezdomnych i osieroconych chłopców“. Inicyatywę podjęło tu grono ludzi dobrej woli, między którymi należy postawić tu na pierwszem miejscu st. radcę Magistratu p. Banasia. Dziś, gdy humanitarne to dzieło ma już za sobą 10-letni okres owocnej pracy, warto przypomnieć historyę powstania Zakładu. Powstał on w ten sposób, że przeniesiono doń na początek 35 chłopców bezdomnych — przeważnie sierót — których utrzymywali Bracia Albertowie w Schronisku dla bezdomnych ubogich przy ul. Krakowskiej prawie od chwili założenia tego Zgromadzenia przez niepomnianego miłośnika nędzarzy, Br. Alberta. Czyniący tyle dobrego w cichości Br. Albertowie także i tym razem oddali społeczeństwu rzetelną przysługę, chroniąc od zepsucia pewną liczbę chłopców, względnie, naprowadzając na dobrą drogę tych, co z niej zboczyli. Naturalnym tedy objawem uznania dla Albertanów za ich pożyteczną działalność było, że gm. miasta Krakowa powierzyła im kierownictwo nowootwartego Zakładu, sprawowane dotąd przez nich z jego prawdziwym pożytkiem. Początkowa liczba 35 wychowanków Zakładu wzrastała szybko i wynosi obecnie 68 w wieku od lat 7—18. Ogólna zaś liczba chłopców, przyjętych w ciągu lat 10-ciu, przekroczyła już 260.

Wychowankowie Zakładu rekrutują się zasadniczo z pomiędzy dzieci, których rodzice byli przynależnymi do Krakowa. Wyjątkowo jednak przyjmowani bywają, za odpowiednią opłatą, chłopcy, przynależni do gmin innych. Pod względem fizycznym jest to materyał bardzo marny (sieroty, półsieroty, najczęściej dzieci rodziców nędzarzy i pijaków), zabiedzony i niedorozwinięty i temsamem podatny dla różnych chorób. Pod względem zaś moralnym równie mniej wartościowy. Dość powiedzieć, że na wychowanie Braci Albertanów w Zakładzie dostają się często chłopcy karani policyjnie, lub sądownie, po kilka a nawet kilkanaście razy!

Praca w Zakładzie nad takim materyałem przedstawia oczywiście, olbrzymie trudności. Rezultaty jej oceniać trzeba, mając na uwadze, że jego kierownicy mają do czynienia przeważnie z dziatwą anormalną, która, mimo najusilniejsze starania zapobiegawcze, oddziałuje ujemnie na ten procent dzieci normalnych, jaki wśród niej się znalazł. Dobre, bezwzględnie biorąc, a z uwzględnieniem istniejących warunków świetne wyniki pracy w Zakładzie pochodzą z racyonalnego sposobu, w jaki go prowadzą Albertanie, a także z tego poświęcenia dla idei, na jakie zdobyćby się nie mogli ludzie świeccy, najemnicy, pracujący dla prostego zarobku. Rzetelne w tym zakresie zasługi położył Br. Wincenty, obecny Brat Starszy Albertanów (generalny przełożony), który bezmała 10 lat kierował Zakładem wśród nieraz bardzo trudnych okoliczności, zwłaszcza podczas lat wojennych.



Humanitarne dzieło: Chłopcy, przyprowadzeni przez policyę do Zakładu dla opuszczonych chłopców w Krakowie.



Nowy senator z Krakowa: Inż. Aleksander Adelman.



Budowa Domu medyków w Krakowie: Członkowie komitetu oraz Zarząd. Siedzą (od strony lewej ku prawej) pp.: Miklaszewski, Zachert, prezes, prof dr. Rosner. kurator, Lanotówna, skarbniczka, Michalik, wiceprezes i kierownik sekcyi propagandy. Stoją pp: Cikowski, Kaiser, Neugebauer, kierownik sekcyi technicznej, Twardowski, Staśkiewicz, sekretarz.

Na skutek starań Brata Wincentego a przy pomocy st. radcy p. Banasia i wiceprezydenta Rollego, uzyskał Zakład karty przemysłowe dla trzech rzemiosł: krawiectwa, szewstwa i introligatorstwa. Daje mu to możność wyzwalania swych wychowanków na czeladników, po odbyciu przez nich w warsztatach zakładowych terminu, podczas którego uczęszczają do własnej szkoły przemysłowej uzupełniającej (wieczornej) w Zakładzie. Dotąd wyzwolił Zakład ogółem 25 czeladników krawieckich, szewskich i introligatorskich, pracujących w Krakowie, Warszawie i t. d., a przynoszących chlubę zakładowi.

Na 68 obecnych wychowanków Zakładu 33 uczęszcza do szkoły powszechnej, 3 do seminaryum naucz., 1 do szkoły handl., 14 terminuje w krawiectwie, 8 w szewstwie, a 9 w introligatorstwie. Kierownikami odnośnych warsztatów są wykwalifikowani, pierwszorzędni majstrowie. Jeżeli który z chłopców okaże wyjątkowe zdolności do nauki, bywa wtedy posyłany do jakiej szkoły.

Pragnąc stworzyć rozrywkę dla wychowanków, która zarazem miałaby mieć wpływ dodatni na ich poziom kulturalny, postarał się poprzedni kierownik Zakładu, Br. Wincenty o założenie orkiestry z nich złożonej, którą kieruje wytrawny muzyk-kapelmistrz. Postarał się on również o skioptikon do projekcyi świetlnych podczas wieczorków urządzanych w Zakładzie, gdzie także odgrywane są corocznie Jasełka, cieszące się w całem mieście wielkiem uznaniem.

Dla zwiedzających Zakład gromadka jego wychowanków przedstawia ciekawy obraz. Na pierwszy bowiem rzut oka można między nimi rozpoznać tych, co dopiero od niedawna zostali wyrwani nędzy i występkom. Odbijają oni od dawniej przebywających w Zakładzie swem nieufnem, podejrzliwem spojrzeniem i wogóle zachowaniem, przypominającem młodego drapieżnego ptaka, świeżo zamkniętego w klatce.

Schludnie odziani, starannie umyci, dostatecznie odżywieni wychowankowie Zakładu wyglądem swym dają dobre świadectwo zabiegom swych opiekunów, Braci Albertów, oraz gminie m. Krakowa, nie szczędzącej znacznych funduszów na utrzymanie tego Zakładu, który jest jedną z najlepiej prosperujących instytucyi miejskich.



Budowa Domu medyków w Krakowie: Karty pocztowe, wydane przez Komitet na dochód budowy Domu medyków.

Budowa Domu medyków
w Krakowie.

Przed niespełna dwoma laty, po odparciu nawały bolszewickiej, po raz pierwszy w odrodzonej ojczyźnie, grono studentów medycyny Wszechnicy Jagiel. rzuciło myśl budowy własnego domu dla słuchaczów wydziału lekarskiego. Mimo piętrzących się trudności w chwili pierwszych poczynań, paru tych studentów, wyłącznie własnemi siłami, zdołało osiągnąć tak znaczne wyniki swej niestrudzonej pracy, że budowa Domu już z wiosną obecnego roku będzie mogła się rozpocząć. Całe społeczeństwo z najdalszych zakątków Rzeczypospolitej pośpieszyło z ofiarami, ufundowano setki cegiełek, złożono poważne deklaracye, a śp. dr. Świerzcha zapisał cały swój majątek na ten cel. Senat akademicki ofiarował ostatnio parcelę pod budowę Domu przy ul. Grzegórzeckiej. Drogą składek zebrał komitet pokaźną kwotę przeszło 15 milionów mkp., nie licząc majątku, jaki posiada w zakupionych jeszcze w zeszłym roku materyałach budowlanych za kwotę 11 milionów mkp. Kierownictwa budowy podjął się bezinteresownie arch. p. Jerzy Struszkiewicz. W pracach swych doznawał komitet najżywszej opieki ze strony Senatu akademickiego.



Budowa Domu medyków w Krakowie: Cegiełka na rzecz budowy Domu medyków.

Nie wątpimy, że społeczeństwo oceni należycie dotychczasowe wyniki pracy i działalności komitetu i umożliwi przez dalszą swoją ofiarność ukończenie tak wielkiego dzieła, które służyć będzie przyszłym pokoleniom jako ośrodek pracy i nauki.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

6) **Powieść z francuskiego**

— Czy jest co w tych wystąpieniach, które mi pani każe przetrawiać, coby zadowolniło jej duszę? Czy godnem to jest pani pokazywać się w kawiarniach, gdzie zmuszoną jesteś potrącać o kurtyzanki, gdzie język, śpiewki, wszystko co się mówi, wszystko co się robi, jest dla niej obrazą.

Dzieci pani!... te niewinne istoty, które nie żądały życia, czyś wydała je na świat po to, by je truć takim przykładem? Czy nie pomyśli pani, że przyjdzie czas, w którym, chociaż nie są obowiązane odpowiadać za jej postępowanie, zawsze jednak potępią je w głębi swego sumienia; ktośkolwiek, jakiś zazdrośnik, nieprzyjaciel, może im przypomnieć to postępowanie, by je tem znieważyć! O! wierz mi pani! wiele, bardzo wiele zawiniłaś, przestawszy myśleć o swych dzieciach!

Wracając zaś do tego przebrania, w którem popisywałaś się pani wobec mnóstwa ludzi, jeżeli chce pani należycie ocenić jego niewłaściwość, to miej pani teraz śmiałość przywdziać je znowu i tak jak wczoraj, na balu, zaprezentuj się swoim chłopczykom.

Powiedziałem wszystko, com zamierzył. — Umilkłem.

Hrabina, przez cały czas, gdym mówił, miała spuszczone w dół oczy i kąsała bukiet fiołków, udając że wącha. Sądziłem, że jest ostatecznie upokorzona.

Tymczasem, gdym skończył, podniosła czoło, uśmiechnęła się i rzekła:

— Właśnie panu to przystało prawić mi morały! jakież właściwie masz pan wyobrażenie o naszych stosunkach? Mój ojciec, brat, mąż, każdy z moich przyjaciół, nawet osoby obojętne, miałyby prawo robienia mi tych surowych wyrzutów. Ale na całym świecie jeden tylko pan nie masz tego prawa. Jesteś pan moim kochankiem, a ja jego kochanką. Czy mąż mój opuścił mię czy nie, czy pan czujesz ku mnie skłonność więcej czy mniej żywą, czy świat zna czy nie zna naszych stosunków — wszystko to nie zmienia i h natury. Kochając się, popełniamy czyn zawsze i wszędzie potępiony. Przed sądem nazwanoby pana moim wspólnikiem i niepodobnaby było sądowi zhańbić mnie, by razem nie splamić i pana. Doprawdy, że byłoby to bardzo dogodnem łączyć w swojem postępowaniu surowość względem innych z pobłażaniem dla siebie samego! Szczególniej byłoby dogodnem występować publicznie z taką spartańską surowością, a w życiu prywatnem odwetowywać to sobie żądając wynagrodzenia od kobiety zamężnej, matki dzieci. Kara błędu, jaki popełniamy, zawiera się w tem, iż nie wolno się nam starać o jego uszlachetnienie. Wszystko, cobyśmy robić chcieli w tym celu błąd ten jeszcze zwiększa. Jeżelibyśmy wzbudzili w kim współczucie ku słabości poprostu wyznanej, to hipokryzya nasza — w tej samej osobie wstręt tylko obudzić może.

Umilkła. Nie sądziłem, by była w stanie zdobyć się na taką replikę. Stałem przed nią, chwiejąc się, jak człowiek, który otrzymał uderzenie maczugą. To, co mój umysł, zamącony namiętnością, wziął za prawdę, było tylko sofizmatem.

Widząc, że nie odpowiadam, hrabina zaczęła znowu, ale głosem bardziej stanowczym. Nie wzbudzałem w niej żadnej litości.

— Wiem co robię — powiedziała — i nie łudzę się wcale co do mego postępowania. Największym moim błędem, błędem rzeczywistym, jest nieubieganie się za rozrywkami, które mi pan wyrzucasz, ani to nawet, że raz w życiu zachciało mi się odegrać rolę bogini. Moim błędem nie do darowania jest to, że mam kochanka, a nim jesteś pan! Nie bardzo to rozsądnie, że mi ciągle mówisz o moich dzieciach. Czy sądzisz pan, że z czasem, gdy one będą sądzić postępowanie moje, ta płochość, którą mi pan wyrzucasz i nawet to, co nazywasz pan nieprzyzwoitością, nie wyda im się drobnostką wobec tego nieprzyzwoitego i oburzającego faktu, żeś był moim kochankiem? Nigdy mi pan nie wspominaj o moich dzieciach!

Stałem, jak przytłoczony niezmiernym ciężarem. Hrabina uśmiechnęła się tryumfująco, potem, łagodząc głos, rzekła:

— Zresztą, co pan chcesz?... To nieszczęście! Przyznaję, żem słaba.., nie mam siły oprzeć się mojej naturze. Natura ta, którą nazywasz pan płochą, a która jest tylko niespokojną, ciągle popycha mnie ku temu, czego nie znam, ku wszystkiemu, co dać może nowe wrażenia. Pan chciałbyś mnie zasekwestrować do czego? Czyż nie należę do towarzystwa? Dla czegóż bym miała porzucać moich przyjaciół? Coby powiedziano, nie widząc mnie nigdzie? Stworzona tak jak jestem z tem, co pan raczysz nazywać moją pięknością, a zwłaszcza z moim majątkiem, mam obowiązki względem towarzystwa. Wszystkie te książki, zajęcia, jałmużny, których bynajmniej nie ganię, wszystko to jest dobre w Aix. Tam miało to przynajmniej racyę bytu. Ale nie jesteśmy już w Sabaudyi; teraz znajdujemy się w Paryżu.

Przy tych słowach, pomimo mego osłupienia, nie mogłem powstrzymać się, by nie ruszyć ramionami.

— Wierz mi pan, żeś bardzo dla mnie niesprawiedliwy — mówiła dalej łagodnie. — Zgadzam się z panem, żem źle zrobiła, przywdziewając ten kostyum; ale jeżeli był on zanadto otwarty, to wina krawca. Gdybyś pan wiedział, ile mam trudności, chcąc zobaczyć się z panem! Nie przywykłam wychodzić piechotą. Gdybym tylko w poprzek ulicy przeszła, wydałoby się to rzeczą nie do uwierzenia. Muszę zatem wynajdywać najdrobniejsze pozory i używać tysiącznych wybiegów, aby słudzy moi nie podejrzywali naszych stosunków. Pan miewasz nieprzyjemności z mego powodu! Ale czyż nie zasłużyłam na to, byś je pan zniósł? Jesteś pan niewdzięczny!... Iluż to ludzi pragnęłoby być na pańskiem miejscu. Wiedz pan o tem, że widziałam monarchów u nóg moich... i tam ich zostawiłam!

W tej chwili, nie ta ąc przed sobą siły niektórych jej argumentów, powoli zacząłem przychodzić do siebie.

— Chociaż zaprzeczasz mi pani prawa zajmowania się jej reputacyą — odrzekłem — nie mogę jednak nie odpowiedzieć pani. Pojmuję to, że kobieta lubi się bawić, lubi rozrywki, ale ubolewam nad tem, że lubi tylko niewłaściwe. Błąd mój w Aix zawierał się w tem, iż przypuszczałem, że kobieta, będąca w takich jak pani warunkach, może zerwać na zawsze ze swemi światowemi przyzwyczajeniami. Błędem zaś moim obecnym, jeżeli to błędem nazwać można, jest, iż ubolewam, że pani mniej się udziela właściwemu jej towarzystwu, niżby to dla niej wypadało, bo przecież ani w Alkazarze, ani nawet na balach Opery nie jest odpowiednie dla niej miejsce, ale w salonach. Jeżeli w Aix miałem zamiar, który dziś wydaje mi się niedorzecznym, zabawiając ją, podnieść jej umysł przez czytanie, rozbudzić w niej zamiłowanie dobroczynności, przywiązać ją do życia domowego to zamiar taki dyktowało mi moje przywiązanie. Źle więc pani robi, wyrzucając mi to. Chociaż obecnie wiele kobiet żyje tak jak pani, jest jeszcze dzięki Bogu wiele innych, które prowadzą się skromnie. Dlatego zapytuję: Czemu pani naśladuje tylko pierwsze, a nie drugie? Dlaczego zwłaszcza, bo muszę jej to powiedzieć, choć przytoczyła pani bardzo dobitnie racyę, bym milczał co do tego punktu — dlaczego pani nigdy nie zajmuje się dziećmi?

Usłyszawszy to, zerwała się zniecierpliwiona i zawołała:

— Ach! te moje dzieci! przecież nie mogę myć je i ubierać! Na to są służący.

— Ale ich wychowanie — odparłem; — ale ich serca, wykształcenie duszy i umysłu! czy i te święte obowiązki powierzy pani sługom?

— Pan jesteś impertynent! — rzekła, biorąc na siebie okrycie.

A gdym nie wiedział, co odpowiedzieć na tę gwałtowność, dodała:

— Wiesz pan dobrze, iż moje dzieci będą miały nauczycieli. Zresztą nic panu do tego. Nie po to mam kochanka, by słuchać kazań. A pan zawsze jesteś kaznodzieją!

XLIX.

Ma słuszność, powiedziałem sobie, gdy odeszła; najzupełniejszą ma słuszność! Co mnie najwięcej gnębiło, to fakt, że ona — ona mnie sądzi!

W moje życie pracowite, pełne najlepszych zamiarów, pozwoliłem wcisnąć się ciekawości niezdrowej. Namiętność zmieniła moje sumienie.

Nigdy nic czystego nie wypłynie z nieczystego źródła. Nie można uczciwie kochać cudze żony! Kto chce w miłości być zgodnym z własnem sumieniem, ten powinien zaczynać od poślubienia uczciwej dziewczyny, a nie wsuwanie się do alkowy kobiety zamężnej.

A więc między nami, pomimo wszystko cobyśmy robili, zawsze tylko istnieć będzie zdrożna rozpusta; tak chce logika.

No! a cóż dalej?...

Widocznie, iż jedno tylko nam pozostaje. Dopóki łudziłem się jeszcze co do natury naszego związku, mogłem, przy pomocy mojej miłości i niedoświadczenia starać się uszlachetnić go. Ale dziś! dziś, gdy ona sama otworzyła mi oczy, wykazawszy, że nie ona była w całej tej sprawie najwinniejszą... czyż zgodzę się na taką sytuacyę, na to, by w milczeniu być świadkiem takiego istnienia hańbiącego? czy przyjmę część jego na siebie?

Toby było okropnem!

L.

Tegoż samego dnia miałem spotkać się z hrabiną na balu, w jednym prywatnym domu. Poszedłem tam z sercem zlodowaciałem i z nieodwołalnym zamiarem zerwania. Całe poobiedzie i wieczór krzepiłem w sobie wolę ku temu. Szedłem na bal ów dlatego tylko, by powiedzieć pani Chalis i to powiedzieć krótko, w dwu słowach, tak, by mi nie mogła dać odpowiedzi, że zrywam z nią.

Ale przybywszy tam!... o jak słabem jest serce ludzkie!

Ujrzawszy ją zdaleka w świetnym salonie, niedbale siedzącą w pośród mnóstwa innych kobiet, z czołem zadumanem, rozmarzonemi oczyma, z jedną nóżką naprzód wysuniętą, rękami założonemi na kolanach, w pozycyi prawie dziewiczej, smutnej, nie wyszukanej, ale którą niezawodnie artysta wybrałby, chcąc ją, o ile można, najkorzystniej przedstawić — wtedy poruszyło się we mnie coś młodocianego, coś rzewnego. Przybliżyłem się do niej, wziąłem ją za rękę.

Spojrzała na mnie.

Tyle tylko miałem czasu, by uciec, łzy cisnęły mi się do oczu.

LI.

Nie mogę! — powiedziałem sam do siebie, znalazłszy się na ulicy, pieszo, wśród ulewnego deszczu, starając się zebrać pogmatwane myśli i narażając się umyślnie na dojmujące zimno, aby ochłonąć i wywołać w sobie reakcyę. Nie mogę! — powtarzałem sobie następnie przez bezsennej nocy, trawiony gorączką i zrozpaczony z tego powodu, żem się czuł tak nikczemnym.

Za tę nikczemność sama hrabina miała mię ukarać.

Od owego dnia, jakby nie mogąc mi przebaczyć tego, iż zmuszoną była przezemnie do bronienia się przeciw zarzutom, jakie jej robiłem, poczęła obojętnie obchodzić się ze mną, rzadziej odwiedzać mnie.

Jednocześnie w towarzystwie udawała, iż bardzo mało zwraca na mnie uwagi.

Z drugiej znów strony ja sam miałem tyle nieprzyjemności, doznawałem tyle wstrętnych dokuczań, iż zrazu dostrzedz nie mogłem tej zmiany.

Zmarnowawszy cały mój kapitał, wpadłem w ręce lichwiarzy. Teraz doszło już do tego, że trudno mi było wypożyczyć nawet małą kwotę na dwieście od sta procentu.

Nędza, nie robiłem sobie pod tym względem żadnych złudzeń, nędza, jak ptak złowrogi, w milczeniu unosiła się nademną.

A tymczasem hrabina trzymała mię zdaleka od siebie. W końcu dostrzegłem jej oziębłość.

Wtedy... lecz dopiero wtedy począłem robić sobie uwagi nad „mojem szczęściem". Sądząc z pozorów, każdy zazdrościłby mi go. Ale gdyby wiedziano, z jakich tortur ono się układało.

O! jakże żałowałem, żem się nie ożenił przed tym czasem! żem zwrócił swoje oczy na ten świat szczególny, żem przywdział tę szatę Nessusa, której z siebie zedrzeć nie mogłem!

W najgorszym razie byłbym nauczycielem w jakiem prowincyonalnem mieście, z dobrą, prostą żoną, a umysł mój cały poświęciłbym na rozmyślanie... studya... na radość tak czystą! Uderzenie piorunu wyrwało mię z tych uwag.

LII.

Pewnego dnia dowiedziałem się od jednego z moich przyjaciół, że dzień przedtem był on na obiedzie w restauracyi Frères Provenceaux z panią Chalis, dwiema innemi kobietami, ich mężami i księciem Titiane.

Zrazu nie chciałem temu wierzyć, bo to była już nie prosta nieprzyzwoitość, ale coś potwornego. Jakto? Więc ta kobieta, tak dumna, miałaby przebaczyć człowiekowi tak lichemu?...

Nie mogłem zachować się tak jak zwykle, gdym ją potem zobaczył po raz pierwszy.

Hrabina zauważyła, że wyglądam jakoś dziwnie i zapytała mnie o przyczynę tego. Powiedziałem jej — zapytałem, czy ma serce tak postępować? Natychmiast przybrała minę obrażoną i odrzekła:

— To moje przyjaciółki zaprosiły go. Czyż mogłam sprzeciwić się temu? Czy miałam im opowiedzieć, co się wydarzyło w Aix?

— Tego nie wiem... wiem tylko, że ten człowiek postąpił sobie z panią niegodnie.

— Eh! Nie! odparła z niezadowoleniem. — Postąpił sobie, jak wszyscy mężczyźni, jakbyś i pan postąpił na jego miejscu.

— Jakto?... ja?... i pani śmie...

Przerwała mi.

— Groził mi, że się zemści, gdyż czuł się obrażony tem, że został opuszczony. Biedaczysko! kochał mnie jeszcze! Ale nie przyprowadziłby swej groźby do skutku. Badałam go w tym przedmiocie. Odpowiedział mi z całą szczerością i prosił o przebaczenie.

A gdym chciał przemówić, mając mnóstwo rzeczy do powiedzenia jej, nie dopuściła mnie do tego.

A! pan zazdrosny! — zawołała — co za głupstwo! Jeżeli widuję księcia, to dlatego tylko, iż nie mogę zrobić inaczej. Jakże mam sobie począć, by go nie widywać? Książę należy do tego samego towarzystwa, co i ja. Nigdzie nie mogę pójść, by go nie spotkać. Zgadzam się z panem, że jest nieco szalony — ale cóż to szkodzi? Zresztą... taki śmieszny!

Nie znalazłem na to żadnej odpowiedzi. Ten ostatni argument uczynił mię niemym.

Dziwna rzecz! Tak to już jest szczególnem moje usposobienie, iż upatrując w ostatnich słowach hrabiny wielką szczerość, które powinnaby mnie obrazić — pomimo to rozczuliłem się.

Postępuje sobie nierozważnie, według swych spaczonych pojęć — powiedziałem sobie — ale jest szczera.

Tak to miłość zmieniła w moich oczach naturę wszystkich czynności hrabiny.

Od owego czasu widywała księcia codziennie. Książę zaś, spotykając się ze mną, udawał, że mię nie poznaje, a hrabinie okazywał niezmierny szacunek.

Powróciła wiosna. Pani Chalis znowu zmieniła tryb życia. Teraz wyjeżdżała o ósmej godzinie rano, bądź w lekkim powoziku, powożąc sama, bądź konno, w towarzystwie swych bliskich przyjaciół. Przed opuszczeniem Bulońskiego lasku wypijała kieliszek w kawiarni, przy kaskadzie, potem powracała do siebie na śniadanie; następnie jechała na strzelnicę, by strzelać do gołębi. Wieczorem spędzała godzinę na koncercie Musarda, potem znowu wracała do Bulońskiego lasku i jeździła powozem dokoła jeziora. Znowu powracała z towarzystwem do domu. Grano w karty i posilano się lodami.

Ja nie mogłem przyjmować w tem udziału, gdyż nie miałem szeląga przy duszy, hrabina myślała, że się dąsam, odsunęła się odemnie; a gdym się z nią spotkał, zawsze widziałem przy niej tego przeklętego księcia.

Czasami, przypatrując się im, mówiłem sam do siebie:

— Doprawdy, iż zdaje mi się, jakby byli stworzeni dla siebie.

LIII.

Tymczasem otrzymałem z dziesięć listów od ojca. Ale odgadując, iż zawierać się w nich mogą tylko rzeczy przykre dla mnie, nie otwierałem ich nawet. Pozostawały więc bez odpowiedzi.

Pewnego poranku, gdym sobie robił najsmutniejsze uwagi nad zwrotem tak niepojętym w postępowaniu hrabiny, jak udzielenie przebaczenia księciu, co zupełnie zmieniało i moje położenie, ujrzałem wchodzącego do mnie mego ojca.

Chociaż powinien byłem spodziewać się tych odwiedzin, jednak widok tego człowieka wzruszył mię tak mocno, iż nie zdołałem wymówić słowa. Ucałowałem go ze łzami w oczach i rumieńcem wstydu. Ojciec był nie mniej odemnie wzruszony.

Usiedliśmy w milczeniu. Ojciec patrzał na mnie ze zdziwieniem i boleścią. Gdyby, pewnym będąc, iż jestem zdrów najzupełniej, dowiedział się nagle, że doznaję pierwszych objawów śmiertelnej jakiej choroby, sądzę, że i wtedy nie patrzałby na mnie inaczej. Do tej pory tak był ze mnie dumny!

Gdyśmy obaj zdołali nieco zapanować nad naszem wzruszeniem, ojciec mój począł mi wyjaśniać powód swego przybycia. Jeden z moich towarzyszy z kolegium, sądząc, iż najlepiej zrobi i litując się nad mojem położeniem, napisał do niego list, w którym opowiedział wszystko, co się o mnie mówiło w ministerstwie oświecenia publicznego i co było powodem mojej dymisyi.

Ojciec mój wiedział zatem, iż prowadziłem życie bezładne i nie mam żadnego zajęcia. Ale wiadomości jego na tem się kończyły. Nie mógł on nawet przypuszczać, aby osoba, znajdująca się na takiem stanowisku, jak pani Chalis, mogła być przyczyną wszystkiego. Sądził, żem się zrujnował dla jakiejś „damy kameliowej“ i chociaż to przejmowało go wielką goryczą, zawsze jeszcze pozostawała mu niejaka nadzieja.

Czułem się w obowiązku wyprowadzenia go z tego błędu. Wyznałem, że wszystko co do niego pisano, było najzupełniejszą prawdą, ale też odpowiedzialność za moje postępki cięży wyłącznie na mnie tylko, i że w tem wszystkiem nie ma udziału żadna przedajna piękność. Rozmiłowałem się szalenie do życia światowego. Powoli przestawanie z próżniakami, zrodziło we mnie wstręt do pracy. Grałem i rozdrażniony wyrzutami, jakie przełożeni moi mieli prawo czynić mi za to, porzuciłem moją posadę.

Ale ojciec, słuchając mnie, potrząsał głową. Miał on za wiele doświadczenia, a zwłaszcza znał mnie zanadto dobrze, aby nie spostrzedz, że kłamię i że składam mu wyznanie niekompletne.

— Karolu! — powiedział mi spokojnie, — ukrywasz przedemną prawdę; w tem wszystkiem musi być kobieta!

Napróżno wysilałem się, by go przekonać o mojej szczerości.

— Najgorszą rzeczą z tego wszystkiego, coś zrobił — to uciekanie się do kłamstwa — rzekł — chcę wiedzieć prawdę, mam prawo do tego.

— Prawdy tej, mój ojcze, wyznać ci nie mogę.

— Cóż ci nie pozwala uczynić tego?

— Honor.

Usłyszawszy ten wyraz, stary marynarz żywo podniósł głowę.

— Honor? — zapytał.

A w ustach jego słowo honor brzmiało jak trąba, budziło wspomnienie bitew. Zdawało się, jakby stawał mu przed oczyma obraz walki i ponure postacie skrwawionych towarzyszy wśród dymu bojowego.

— Honor!... — powtórzył raz jeszcze, a potem litośnie wzruszywszy ramionami, dodał:

— Widzisz, że w tem wszystkiem jest kobieta!...

Milczałem... Czułem, że stoję teraz wobec najwyższego sędziego.

— Jak się nazywa ta kobieta? — zapytał ojciec.

To samo milczenie.

— Jeżeli nic nie mówisz, to znaczy, że jest mąż... czy tak?

Pochyliłem głowę.

— Dobrze. Teraz pojmuję nieco twoje skrupuły.

Potem wstał, dodając:

— Zobaczymy się jutro.

A przechodząc przedemną, wymówił raz jeszcze głosem Nioby, opłakującej swe dzieci:

— Honor!...

Podniosłem oczy. Sędzia mój już się oddalił.

LIV.

Na drugi dzień rano ojciec znowu mię odwiedził. Był jeszcze niespokojniejszy niż wczoraj. Kogo też widział?... i co się dowiedział?...

— Przyszedłem — powiedział mi otwarcie — rozmówić się z tobą. Znam już przyczynę twego bezładnego życia; a ponieważ ta, Bogu dzięki, nie uczyniły mię jeszcze do tego stopnia tępym, abym zapomniał o tem, żem sam był młodym, wyznam ci, że postępowanie twoje — pojmuję, chociaż nie usprawiedliwiam. Niema człowieka, któryby choć raz w życiu nie uległ, tak jak ty, namiętności zdrożnej i jeżeli nie wszyscy tak surowo, jak ty, odpokutowali swój błąd, to dlatego, że nie wszyscy mieli serca tak świeże, albo też, że znaleźli się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Bardzo zawiniłem względem ciebie. Znając cię tak, jak ja cię znam i od dzieciństwa twego widząc, z jaką łatwością rozamiętniasz się bez widocznego powodu, nie powinienem był liczyć na dojrzałość rozsądku, nie właściwą twemu wiekowi i pozostawiać ciebie samego zdaleka odemnie, wiedząc, że będziesz narażony na wszelkie pokusy. Tak jest! powinienem był być z tobą ciągle, albo ożenić cię, gdyś rozpoczynał twoją karyerę. Nigdy młody człowiek bezkarnie nie usuwa się od życia rodzinnego. A zatem źle sobie postąpiłem i wyznaję to przed tobą.

Jakież to uczucia wlała natura w serce ojcowskie! Ten oto, chcąc mnie podnieść w moich własnych oczach, przypisywał sobie winę za moje błędy.

— Nie będę ci mówił o osobie — ciągnął dalej — która cię doprowadziła tam, gdzie jesteś. Imię jej nigdy nie powinno być wymówione między nami dwoma. Muszę wszakże przypomnieć ci, w jakiem znajdujesię ona położeniu. Jest to osoba zamężna i matka. Znaczy to, że wasz związek nie może trwać długo. Otóż na tym świecie trzeba wiedzieć, dokąd się idzie. Jesteś zrujnowany, zadłużony, nie masz stanowiska w świecie. W dwudziestym szóstym roku, przy silnej woli, wiele jeszcze poprawić można! Co zamyślasz robić?

Czułem się tak przygnębionym, iż słowa jednego wymówić nie mogłem.

— Zamierzam... zamierzam pracować, mój ojcze! — rzekłem w końcu.

— Pracować? nad czem?

Milczałem.

— Czy znasz jakikolwiek środek powrócenia do tej przyszłości, która tak świetnie się zapowiadała? do tych wystąpień początkowych, tak wiele rokujących? do tej karyery tak zaszczytnej? do tego wszystkiego, co dziś widzę popsutem, zgruchotanem, w proch obróconem?

— Ależ... bezwątpienia!...

Powiedziałem to, lecz bez najmniejszego przeświadczenia.

— Jakim sposobem? — zapytał ojciec.

Rzuciłem mu się do nóg.

— Błagam cię, ojcze! — zawołałem — nie wymagaj odemnie, bym opuścił kobietę, którą kocham! Nie mogę tego uczynić; ona jest mojem życiem!

Ojciec zamyślił się.

Położenie jego było okropne. Musiał zachować zgodność między swem postępowaniem a zasadami, a nawet i w tej chwili jego zasady nie pozwalały mu narzucać mi swej woli.

Niejeden na jego miejscu udałby się do pani Chalis. Ale ten człowiek, zastanawiający się nawet w czułości swej, zarówno był niezdolnym do tyrańskiego występku, jak i do czynu bezbarwnego. Przez myśl mu nawet nie przeszło obrażanie wstydliwości kobiecej.

Podniósł mnie, posadził koło siebie i pomyślawszy czas niejaki rzekł:

— Widzę, że tak daleko zabrnąłeś w twem szaleństwie, iż bezużytecznemi byłyby wszelkie rozprawiania z tobą. Trzeba — i to nastąpi niechybnie — byś został ukarany przez to właśnie szaleństwo. Mówisz, że się weźmiesz do pracy — niech i tak będzie. Jednej tylko rzeczy żądam od ciebie, ale chcę, byś mi to rzecz zaręczył swym honorem. Nie będziesz więcej robił długów. Te, które zaciągnąłeś, zapłaciłem. Gdy będziesz potrzebował pieniędzy, zgłosisz się do mnie. Roztrwoniłeś majątek twej matki. Nie wiele tego co mam, należy do ciebie. Wolę widzieć, jak to marnujesz, aniżeli, że się bezcześcisz. Moja wysłużona pensya wystarczy mi na życie. Czy przyrzekasz mi to?

— Przyrzekam.

— Dobrze. Teraz bądź zdrów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. FRIEMANN.

„CZIKAŁKA"

(Ze „Szkiców kaukazkich").

Już po kilku dniach pobytu w Mikel Gabrielli (Kaukaz) urządziłem się wcale nieźle w schludnym dworku starego leśniczego Bagrata i oswoiłem się bardzo szybko z nowem otoczeniem. Zaprzyjaźniłem się odrazu z rodziną mego gospodarza i ustawicznie zbierałem od niej najrozmaitsze dowody życzliwości. Bagrat, zapalony myśliwy, obejrzał z niezmiernem zainteresowaniem moją broń myśliwską. Było wprost przyjemnie patrzeć na niego, jak — cmokając ustami — obracał z rozkoszą w ręku zgrabną belgijską dubeltówkę. A gdy, chcąc zrobić mu przyjemność, podarowałem mu trochę prochu i śrótu, radość jego nie miała wprost granic. Ściskał mnie serdecznie za rękę i wołał z wielkiem uczuciem: „Maładiec!", a było to jedno z czterech słów rosyjskich, któremi władał. „Czort", „czaj" i „durak" dopełniały jego edukacyi w tym kierunku. A że mój zapas gruzińskich wyrazów również był bardzo znikomy, więc z początku prowadziliśmy rozmowę tylko z pomocą ordynansa Mihaka, mego Sancho Pansy, który wcale nieźle znał język rosyjski. Dopiero potem, przy bliższem już poznaniu, doskonale porozumiewaliśmy się na migi, wprost nawet odgadując z intonacyi głosu treść zapytań i odpowiedzi.

Po otrzymaniu prochu Bagrat rozpoczął do Mihaka długą przemowę, w czasie której stary żywo mrużył oczy; wreszcie poklepał mnie po ramieniu, klasnął głośno językiem, naśladując wystrzał i zawołał tryumfalnie:

— „Czikałka! Czikałka!"

Mihako objaśnił mnie o co chodzi.

— Ty, gaspadin, masz kupić barana u Wano Czcheidze, i to prędko!

— A to co nowego? Na co mi barana? Czyś ty Mihako przy zdrowych zmysłach? Przecież to droga bestya!

Mihako zaś odrzekł z zabawną u takiego wyrostka powagą:

— Ten baran chce umrzeć. Jest bardzo chudy i już trzeci dzień leży, więc Wano sprzeda go za trzy ruble, a skórę z niego sam zedrze.

— Bój się Boga, Mihako! Na co mi zdychającego barana? Przecież ja go jeść nie będę!

— Ty, gaspadin, nie masz potrzeby go jeść, a zje go czikałka (szakal).

— Ach! Więc mamy zapolować na szakale, a baran ma być przynętą! Teraz już rozumiem.

Złożyliśmy na poczekaniu radę wojenną. W 5 minut osiodłano konie, które szybko uniosły trzech jeźdźców do właściciela zdychającego barana. Stamtąd zaś mieliśmy ruszyć wprost na zasadzkę.

Wano, stary, i bogaty wieśniak, był wielce uszczęśliwiony z naszych odwiedzin i z wielką attencyą czynił nam honory domu.

Po wzajemnych uprzejmościach i konwencyonalnych zapytywaniach o urodzaje, przyszła kolej na trzodę. Bagrat spojrzawszy bystro na Wana zapytał:

— A jakże chowają się twoje tłuste barany, o sędziwy gospodarzu?

Wano melancholijnie westchnął i odrzekł, że całe stado miewa się doskonale, tylko jeden „ulubieniec domu" zachorował z niewiadomego powodu; najpewniej ukąsiła go jadowita żmija.

Bagrat wyraził mu współczucie i zaproponował złożenie wizyty choremu baranowi. Całe towarzystwo poszło do obory, gdzie dogorywało biedne stworzenie. Na pierwszy już rzut oka było widać, że baran nie dociągnie do wieczora; ale nie wypadało powiedzieć to gospodarzowi. Dopiero po długich korowodach słownych wyjawił Bagrat chęć nabycia zwierzęcia. Wówczas Wano zauważył z rozrzewnieniem, że od rana nastąpiło widoczne polepszenie w stanie chorego. Na to mój rzecznik bez ceremonii stwierdził u zwierzęcia symptomy agonii, co znów gospodarza bardzo uraziło. Sądząc z giestykulacyi i błysków oczów, rozmowa między Bagratem i Wanem zaczęła przybierać coraz mniej patryarchalny charakter. Jakoż obaj sędziwi starcy zaczęli wkrótce na dobre skakać sobie do oczów z namiętnością właściwą południowcom.

Mój Mihako tłómaczył mi z epiczną powagą dyalog starców tej mniejwięcej treści:

— Co?! Za tę odrobinę padliny baraniej żądać aż 5 rubli?! O dostojny Wano! Mów to przynajmniej ciszej, aby nikt z sąsiadów tego nie usłyszał, bo gotów któryś zaraz powiedzieć, że jesteś synem łapczywej wrony i kulawego osła.

Na to odpowiada Wano, zły, ledwo dysząc:

— Miód płynie z ust twych, o czcigodny Bagracie, lecz zaprawdę niesłusznie przypisujesz moim sąsiadom słowa, od których udławiłby się nawet bezwstydny szakal, aczkolwiek, jak wiadomo, temu nikczemnikowi jest zupełnie obojętnem, na kogo szczeka. Baran zaś mój jest tęgi i ważył do niedawna tyle, ile młody cielec. A że leży, to wcale nie dlatego, żeby nie mógł wstać, ale że taka jest wola jego.

Słysząc to Bagrat odpowiada, hamując swe oburzenie:

— Zaprawdę, Wano, jesteś chwałą i ozdobą mężów w Mikel Gabrielli i wątpię, czy gdziekolwiek znajdzie się mąż mocniejszy w radzie od ciebie. Lecz zechciej jednak odpowiedzieć mi na jedno pytanie: Czy ty znasz muła?

Na to podejrzliwy Wano nic nie odpowiedział, wietrząc jakąś zasadzkę. Bagrat zaś ciągnie dalej z niewinną miną:

— To bardzo, ale to bardzo tępy i uparty zwierz.

Wano nie wytrzymał i spytał gniewnie:

— Więc cóż z tego?

— A zatem, o Wano! chlubo naszych gór! Ty, którego mądrość gwiazd sięga, a przebiegłość nie spotyka równej sobie w naszych stronach! Spróbuj zapoznać się jednak bliżej z takim mułem, albowiem wiele, ale to bardzo wiele mógłbyś od niego skorzystać!

Konflikt zaostrzał się coraz bardziej i nie wiadomo na czemby się skończył, gdyby nie interwencya barana, któremu znudziły się targi o własną skórę. Jęknął tedy boleśnie raz i drugi, wyprężył się, ziewnął i przeniósł się do lepszych światów. Ten zdradziecki postępek, ze strony „ulubieńca domu" ogromnie zmięszał Wana, a przebiegły Bagrat zaraz skorzystał z sytuacyi, natarł na skonfundowanego i targu dobił. Ja zaś za niecałe trzy ruble stałem się właścicielem baraniej padliny.

W pół godziny potem pędziliśmy galopem w góry, aby przed wieczorem stanąć na miejscu przeznaczenia, gdzie zaraz po przybyciu Bagrat załatwił prace przedwstępne. Przywiązał do długiego sznura kawał barana i kazał to samo uczynić Mihakowi. I tak jeździli po leśnych drożynach ciągnąc za sobą tę tak zwaną obwłokę, a wszystkie ślady, mające węch szakala podrażnić koncentrowały się na środku niewielkiej polany, o kilkanaście kroków od starej, na pół rozburzonej „sakli" (szałasu). Tam złożono tryumfalnie wielkie kawały barana na przynętę. W sakli zaś było moje łowieckie stanowisko.

Bagrat wraz z Mihakiem zabrali resztę barana i pojechali w drugie miejsce, o parę kilometrów dalej, abyśmy sobie wzajemnie podczas łowów nie przeszkadzali. Odjeżdżając zalecił mi Bagrat jak największą ciszę i ostrożność „bez granic", gdyż „szakal słyszy nawet bicie serca ludzkiego".

Pozostawałem więc sam w szałasie, który — jak sądzę — był niegdyś dla celów myśliwskich zbudowany, bo miał doskonały obstrzał na trzy strony.

Przed zapadnięciem zmroku należało zbadać uważnie teren. Po dokonaniu tego zadania usadowiłem się jak najwygodniej, strzelbę nabiłem grubym śrótem i pogrążyłem się w nieruchomej kontemplacyi przyrody, bo do zmroku było jeszcze z pół godziny, okolica zaś była przepiękna.

Lekki wietrzyk delikatnie poruszał młodymi liśćmi drzew, niby próbując akordów na wielostrunnej harfie; kilkakrotnie uderzył silniej, to znów urywał nagle, jakby szukając natchnienia i zwolna coraz szersze zataczał kręgi. Coraz więcej drzew zaczynało nucić swą smętną melodyę ciszy i samotności, aż wreszcie las przemówił... I popłynęły cudne, spokojne melodye przy cichym wtórze szemrania potoków, tak łagodne, czyste i proste, a jednak połączone z sobą w przedziwne sploty, pełne czarownych barw.

Na tle tej leśnej symfonii dał się słyszeć głos bardzo żałosny i smutny, niby płacz dziecka, drgający krzywdą wieczną, że mimowoli smutek ogarniał człowieka.

Poznałem ten głos.

To była wieczorna pieśń szakala, który na całonocną wędrówkę wyrusza i żali się na swą dolę surową. Pierwszemu śpiewakowi odpowiedziało zaraz kilku innych, i cichy dotychczas w swem szemraniu las rozbrzmiewał przez parę minut donośnem zawodzeniem.

Nagle, jakby na komendę, wycie umilkło i cisza zupełna nastała. Teraz należało spodziewać się rychłych odwiedzin. Aby więc nie uczynić najmniejszego nawet poruszenia przy ukazaniu się szakala, skierowałem wyloty strzelby w stronę przynęty i zamarłem bez ruchu.

Cisza była teraz zupełna, wietrzyk popędził gdzieś dalej, a las drzemał spokojnie, skąpany w szklistych niebieskawych falach księżycowego światła.

Nagle mniej więcej o czterdzieści kroków na prawo od szałasu dał się słyszeć leciuchny szmer, tak cichy, że można go było wziąć za wędrówkę leśnej myszki. Chwila ciszy — i znowu szelest traw, lecz już bliżej, koło samej polany. Serce zaczęło mi bić szybciej; spociłem się ze wzruszenia ale natychmiast złość ogarnęła mnie na siebie samego, że się zbyt gorączkuję.

Zacisnąłem zęby i zapanowałem nad sobą.

Czas był najwyższy, bo właśnie wynurzył się z zarośli szary niewielki cień i — z nosem przy ziemi — posuwał się powoli ku przynęcie. Nagle, ni stąd ni zowąd, prysnął w bok i zniknął jak przywidzenie. W pierwszej chwili już obawiałem się, że mnie zwietrzył, choć przecież byłoby to nieco dziwne, bo ani tytoniu, ani pachnących środków toaletowych nie używam, a ponadto na widok szakala nawet nie drgnąłem. Co prawda, znałem już przedtem podobne fortele lisa, co to niby się nastraszy, pomknie jak oparzony, a o kilkadziesiąt kroków dalej zatrzyma się i inną stroną powoli wróci wśród ostrożności i różnych komedyi.

Nim zoryentowałem się, szara postać ukazała się nagle po drugiej stronie polany i drobnym kłusikiem zbliżyła się do przynęty. Księżyc doskonale oświetlał tę scenę, gdy szakal podszedłszy do barana stanął i wyciągnął w górę swą spiczastą mordkę. Trzeba mu przyznać, że wcale stylowo wyglądał na tle nocnej draperyi. Z zimną premedytacyą poczekałem aż się obrócił do mnie bokiem i delikatnie pocisnąłem cyngiel.

Wyciągnięty jak struna szakal leżał obok barana mocno zakąsiwszy język, który mu zwisał z boku ostrego pyska, co według myśliwskich przesądów ma być dobrą wróżbą, gdyż oznacza nowe powodzenie w najbliższym czasie

Po chwili zjawili się moi współtowarzysze zaciekawieni rezultatem strzału.

Bagrat wypalił wspaniałą mowę, sławiąc moje „bystre oko i wprawną myśliwską rękę". W mowie tej zwrócił się również do szakala i łżył go, wspominając biedakowi różne złodziejskie sprawki. Wreszcie przytroczono zdobycz do siodła, a barana wpakowano z powrotem do worka. Wracaliśmy do domu w przepysznych humorach, oświetleni powodzią księżycowego światła. Na widok mych żołnierzy i podkomendnych wołał Bagrat, wskazując na zdobycz:

— Czikałka! Czikałka!

KONIEC.

Kronika tygodniowa.

Pokazuje się, że niema złego, aby na dobre nie wyszło. Narzekaliśmy ciągle, że wiedzie nam się coraz gorzej, że inteligent musi przymierać głodem, a teraz dopiero zdajemy sobie z tego sprawę, jak dobrze wyszliśmy na tem. Minęła już pierwsza połowa wielkiego postu kalendarzowego, a my zupełnie nie odczuliśmy tego, choć z musu wstrzymujemy się od spożywania mięsnych potraw, nikt z tego powodu zbytnio nie schudł, przedewszystkiem dlatego, iż przeciętny inteligent jest już tak zasuszony, że trudno sobie wyobrazić, by mógł jeszcze bardziej stracić na tuszy. Ile się zaś na tem oszczędza, szczególniej przy sprawieniu sobie nowego ubrania, o tem nawet wspominać nie trzeba, zyskuje na tem także i zewnętrzny wygląd jednostki, stającej się coraz bardziej eteryczną i powiewną. Całe szczęście, że obecnie nie nawiedzają nas silniejsze wiatry, gdyż w danym wypadku uniemożliwiałyby one przejście w niektórych miejscach miasta, naprzykład obok wieży maryackiej, gdzie, jak wiadomo, przeciągi są największe i dlatego, choć miotły magistrackie rzadko się tam spotyka, śmieci widzimy tam stosunkowo nie wiele.

Pierwszą połowę wielkiego postu przeżyliśmy wspomnieniami karnawału, druga natomiast jest mniej wesoła, gdyż umysły zaprząta myśl, w jaki sposób przygotować się do odpowiedniego spędzenia Świąt Wielkanocnych, których pierwszy dzień przypada na 1 kwietnia. Ponieważ w dniu 31. marca wypłacą każdemu osobnikowi jego miesięczną gażę, o ile ją oczywiście pobiera, miny na ogół będą dość wesołe, bo to zawsze wpływa dodatnio na usposobienie, jeśli się ma kieszeń wyładowaną bodajby markami, tracącemi coraz bardziej na wartości, ale z drugiej strony trzeba przyznać, że właśnie z tego powodu, iż się będzie miało pieniądze, ale tak późno, że za nie trudno się będzie zaopatrzyć w artykuły do godnego obchodzenia świąt niezbędne, sytuacya dla niejednego w tym uroczystym czasie stanie się niezbyt ponętną. Gdyby się bodaj miało tę pewność, że starym zwyczajem można „gębę puścić na kwestę" i w pierwszy dzień świąt odwiedzać i obżerać znajomych w mieście, w poniedziałek na Zwierzyńcu, a we wtorek na Podgórzu, wszystko byłoby w porządku, ale trudno się tego spodziewać, bo wiadomo, swój ciągnie do swego a podobni nam obchodzić się będą w okresie świątecznym łykaniem ślinki i wspomnieniami lepszych przedwojennych czasów. Rozmaitego rodzaju paskarze i lichwiarze nie pożałują sobie oczywiście i wyprawią huczne święcone, o jakiem się im przed wojną ani śniło, ale to za wysokie progi dla przeciętnego głodomora, który, gdyby się tam nawet i przypadkiem znalazł, czułby się obcym w nieswojem towarzystwie, a jedzenie i picie, chociażby nawet pierwszej klasy, nie wyszłoby mu na zdrowie. Trzeba się będzie zatem zamknąć na niedzielę w czterech ścianach swojego mieszkania, w poniedziałek, o ile dopisze pogoda, można się będzie wybrać na Sikornik, aby się stamtąd przypatrzeć, jak wygląda z góry Kraków, we wtorek zaś czeka Rękawka, której obchód doroczny komitet podgórski uroczmaici prawdopodobnie i w tym roku spinaniem się na słup, z zastrzeżeniem jednak, że do ubiegania się o nagrody dopuszczeni być mogą tylko pracujący umysłowo. Zastrzeżenie podobne wydaje się nam zresztą zbyteczne, te sfery bowiem, dla których przed laty zdobycie pary trzewików, zawieszonych na szczycie drąga, funta kiełbasy lub flaszki wódki, wstydziłyby się dzisiaj ubiegać o podobne nagrody, skoro zarobek ich dzienny oblicza się na dziesiątki tysięcy.

Mimowoli nasuwa się na myśl porównanie, jak się dziś ocenia pracę. Czytaliśmy niedawno, iż jedno z ministerstw raczyło łaskawie wyasygnować uczonemu, który na jego zamówienie napisał naukową rozprawkę, honoraryum w wysokości aż... sześć tysięcy marek, o czem zawiadomiono go listownie z nadmienieniem, że kwota powyższa wypłaconą mu zostanie po zgłoszeniu się i po ściągnięciu należytości stęplowej. Ale ów uczony, doszedłszy do przekonania, że nie wystarczy to nawet na opłacenie przyszycia przyszczypka do podartego trzewika, nie mówiąc już o podzelowaniu trzewików, co dla umysłowo pracującego człowieka jest dziś marzeniem prawie nieziszczalnem, zrezygnował z tej ministeryalnej wspaniałomyślności, ofiarując przyznaną sobie kwotę dla woźnego, o ile ten nie pogardziłby taką drobnostką.

Role w obecnie unormowanych powojennych stosunkach społecznych zmieniły się zatem zupełnie, gdyby też i Rękawkę urządzono wedle dawnego systemu, kiedy to szczyt góry Lasoty zajmowali burżuje, a stoki proletaryat, gdy pierwsi rzucali bułki, a drudzy je łapali, dziś musiałoby być zupełnie odwrotnie, na szczęście jednak, a może na nieszczęście dla nieraz głodnych inteligentów stary zwyczaj poszedł w zapomnienie, pozostał jedynie słup z nagrodami, o tyle niewygodny, że, chcąc się o nie ubiegać, musi się mieć w porządku dolne części garderoby, a tem nie każdy, zwłaszcza umysłowo pracujący, może się dziś poszczycić.

To także fatalne, że pierwsze Święto Wielkanocne schodzi się z dniem *Prima Aprilis*, niejednego zatem spotka zawód, jakiego się może nawet nie spodziewał, który jednak musi sobie wytłómaczyć zbiegiem tych dwu dat.

Na żałosne rozmyślania o tem, jakie były święta tegoroczne, będziemy mieć dość czasu po ich upływie, narazie ważniejszą jest kwestya, jak się do nich przygotować, jakie na nie wyznaczyć kredyty i skąd je czerpać. Wspominaliśmy już kilkakrotnie, że przed wojną pięćdziesiąt koron wystarczyło najzupełniej na urządzenie wcale przyzwoitego święconego, oczywiście bez nadzwyczajnych wymysłów, ale w każdym razie takiego, iż było co zjeść, czem popić i co zapalić. Dziś, nie oglądając się na daty, podane przez Główny Urząd Statystyczny w odniesieniu do drożyzny, ale praktycznie porównując, wartość ówczesnej korony z dzisiejszą marką, dojść się musi do przekonania, że, aby sobie na coś podobnego pozwolić, trzeba rozporządzać nadzwyczajnym kredytem w kwocie co najmniej pół miliona marek. — I oto, przeznaczywszy nawet na ten cel podobną kwotę, byłoby się jeszcze w kłopocie, w co i gdzie się zaopatrzyć, łatwo bowiem stać się może, że po zakupie wędlin okaże się brak pokrycia na płynne części święconego, bez których specyały wieprzowe w myśl przysłowia obejść się nie mogą. Zaopatrzywszy się zaś w świętalne płyny, można się znaleźć wobec przykrej rzeczywistości, że nie będzie za co kupić kiełbasy i szynki, co zaś z pierwszych, gdy drugich brak.

I tak więc źle i tak niedobrze, podobne troski spędzają sen z oczu ojców rodzin, a także i samotnych jednostek, które miałyby ochotę zaopatrzyć się na święta w rozmaite smakołyki, bez których Wielkanocy dawniej nawet nie wyobrażaliśmy. O doczesnych słodyczach, t. j. plackach, babach i mazurkach, nie wspominamy nawet, aby niepotrzebnie nie psuć krwi Szanownym Czytelnikom, zdającym sobie dobrze z tego sprawę, że najmarniejszy gnieciuch kosztuje dziś tyle, ile dawniej płaciło się za całą cukiernię z jej zapasami. Szczęśliwy ten, kto miał baranka wielkanocnego z gipsu, a nie z cukru, może sobie go bowiem postawić na stole, a obok niego kropidło i będzie miał złudzenie świąteczno-primaaprilisowe, kto go miał jednak z cukru, dawno go już zjadł, gdy nie miał czem czem osłodzić herbaty.

Dwa tygodnie mniej więcej dzielą nas jeszcze od świąt, ale horyzont zaciemnia się co raz bardziej, a barometr markowy okazuje stale zniżkę, której zapowiedź waluty złotej nie może powstrzymać. Nie można zresztą spodziewać się zbyt szybkiej poprawy stosunków, skoro sam twórca projektu sanacyjnego, oblicza ją conajmniej na trzy lata. Ponieważ zaś u nas okres funkcyonowania poszczególnych ministrów, w szczególności zaś ministra skarbu, jest stale bardzo krótki, tak krótki, że pan minister ma zaledwie czas wygłosić swe expose i obiecać, co on to zrobi dobrego, a już drugi rozsiada się na jego fotelu, można żywić nadzieję, że, o ile pan Grabski owych trzech lat nie wytrzyma, jego następca wystąpi z nowymi pomysłami i zacznie pracę *ab ovo*. Dotychczasowe zapowiedzi pana Grabskiego przyjęte zostały przez Sejm naogół przychylnie, ale wiadomo, że u nas, od przyjęcia czegoś do jego wykonania jest droga bardzo daleka, a atmosfera, panująca w Sejmie, należy do tego rodzaju, że trudno na tydzień z góry przewidzieć, z której strony i z jaką siłą powieją nowe wiatry. Czyni się wprawdzie starania o utworzenie większości parlamentarnej, na której mógłby się oprzeć rząd, słyszeliśmy już różne kombinacye na ten temat, ale na razie nie wyszły one z sfery pobożnych życzeń. Rząd jenerała Sikorskiego ma wprawdzie za sobą większość centrowo-lewicową, ale gabinetem parlamentarnym nie jest, a większość, na której się opiera, wobec znanej sumienności zwłaszcza grup centrowych, bardzo łatwo może się rozlecieć.

Przeciętnego obywatela troska o byt codzienny uczyniła tak obojętnym na wszystko to, co się koło niego dzieje, że wszystko mu jedno, kto jest u steru rządu i na kim się opiera, byle on miał spokój i nie potrzebował się troszczyć o to, by, rozporządzając miesięcznie pół milionem dochodu, już w drugiej połowie miesiąca miał pustki w swej kasie. Wprawdzie w ostatnich czasach sytuacya poprawiła się o tyle, że dolar amerykański, który kosztował ponad pięćpięćdziesiąt tysięcy marek, opadł do czterdziestu kilku i na tej wysokości się od pewnego czasu utrzymuje, nie stanowi to jednak gwarancyi na przyszłość, aby polepszenie to miało być stałe, gdyż w pierwszym rzędzie zależni jesteśmy od fantazyi różnych spekulantów giełdowych, którzy wedle swej woli podnoszą lub obniżają kursy. Do niedawna mówiono, że marka polska zawdzięcza swój spadek zależności od swej niemieckiej siostry i pocieszano nas nadzieją, że niech się tylko rozłączą, wszystko będzie dobrze, tymczasem pokazało się, że tak nie jest, bo choć rozłam ten nastąpił, wartość marki polskiej bynajmniej nie wzrosła, owszem obniżyła się jeszcze bardziej.

Obecna poprawa ma polegać na wprowadzeniu nowej waluty, t. j. złotego polskiego, na razie tylko teoretycznie, wprowadzi to w nasze życie nowy chaos i zamieszanie, bo właściwie nikt nie będzie wiedział naprawdę, jak ma liczyć i płacić, skoro wartość złotego polskiego będzie normowana od czasu do czasu wedle stosunków, jakie wówczas będą panowały na rynku targowym. Czy one jednak będą lepsze od obecnych, to muzyka przyszłości i to do tego bardzo cicha, a nie można roić zbyt złotych snów, jeśli się zważy, że główny pogromca drożyzny, jeneralny jej komisarz, p. Hartleb, urzęduje wprawdzie od szeregu tygodni i zapowiedział już nawet, w jaki sposób utnie ogon lichwiarskiemu smokowi, ale w żaden sposób nie może się doprosić o wyznaczenie na ten cel potrzebnych kredytów, bo w kasie pustki, a nowe banknoty są dopiero w druku.

W projekcie sanacyjnym ministra Grabskiego zasługuje na podkreślenie jeden punkt, mianowicie zapowiedź zaprowadzenia racyonalnej gospodarki w przedsiębiorstwach rządowych, przynoszących skarbowi państwowemu stałe gruby deficyt, gdy przed wojną były one daleko rentowniejsze. Jeśli się zważy, że zajęci są przy nich przeważnie ci sami ludzie, co poprzednio, trudno sobie wyobrazić inaczej ich upadek, jak tylko niedołęstwem kierownictwa i oddaniem go w ręce niefachowe. A przecież koleje, saliny, monopol tytoniowy itd. powinny w dzisiejszych warunkach przynosić miliardowe dochody. Wdocznie zatem gospodarka jest wadliwa, a dowód tego mamy przy każdej podwyżce cen wyrobów tytoniowych, na czem zarabiają tylko trafikanci, ciągnący grube zyski nielegalnie, skoro powinny one przypaść skarbowi państwa. Z chwilą ogłoszenia nowej podwyżki cen tytoniu nikną w trafikach nagle wszelkie zapasy, pojawiają się zaś punktualnie w dzień jej wprowadzenia. W takich warunkach ratują się przedsiębiorstwa rządowe dalszem podwyższeniem cen, a śladem ich idą i prywatni przedsiębiorcy.

Rosną też zatem ceny i rosną, nikt nawet przewidzieć nie zdoła, jaką za tydzień lub dwa osiągną moją wysokość, im coś zaś jest bardziej niezbędne do życia, tem drożeje prędzej prędzej i silniej. Łapaliśmy się za głowę, czytając swojego czasu wspomnienia z czasów oblężenia Paryża przez Prusaków i dowiadując się z nich, że za gęś płaciło się sto dwadzieścia pięć franków, i kąż jednak minę zrobiłby ówczesny Paryżanin, gdyby mógł był przewidzieć, że w roku 1923, w dwa lata po ostatnich odgłosach wojennych, w Polsce, t. j. w kraju rolniczym, który nigdy na brak gęsi nie narzekał, za tę zasłużoną obrończynię Kapitolu, żądają i płacą czterdzieści tysięcy marek i nikt się temu nie dziwi, co najwyżej kupujący zaklnie czasem, że to przecież za drogo, a poczciwy kmiotek stęka nie mogąc się doliczyć pieniędzy, tyle ich nazbierał.

Nowy senator z Krakowa.

Skutkiem ustąpienia księcia-biskupa Sapiehy godność senatora z województwa krakowskiego otrzymał inż. Aleksander Adelman. Urodzony w r. 1859 w Mikołajowie (Małopolska wsch.), studyował na politechnice we Lwowie i Wiedniu. Następnie pełnił obowiązki chemika w fabryce cukru w Mizoczu (Wołyń), w Czarnominie (Podole ros.) i zastępcy dyrektora fabryki w Rogoźnej (gubernia charkowska). Po poprocie do kraju wstąpił do służby rządowej i przez 19 lat pracował jako techniczny inspektor kontroli skarbowej w Rzeszowie i Stanisławowie. Po spensyonowaniu osiadł na stałe w Krakowie, gdzie obecnie prowadząc duży handel żelazny (firma Tom. Górecki), rozwija równocześnie wybitną działalność społeczną.

Inż. Adelman piastuje w Krakowie godność wicepr. Tow. technicznego, prezesa Tow. kupców chrześć. młodzieży handlowej, oraz prezesa starej 500 lat liczącej, Kongregacyi kupieckiej. Fachowe studya i długoletnie doświadczenie użytkował w szeregu pism naukowych z dziedziny przemysłu, które zasilał fachowymi artykułami. W Radzie miejskiej Krakowa ceni się wysoko na posiedzeniach komisyi i plenum jego doświadczenie i dokładną znajomość spraw przemysłu.



Gwałty niemieckie w Zagłębiu Ruhry: Wojsko francuskie, otaczające gmach policyi niemieckiej w Essen.

Gwałty niemieckie w Zagłębiu Ruhry.

(Do illustracyi tytułowej).

Łagodność, z jaką postępowali Francuzi na okupowanym terenie, rozzuchwaliła tylko Niemców. Nie tylko stosują oni bierny opór, ale dopuszczają się gwałtów i zbrodni. W Essen i Bochum nawet miejscowa policya niemiecka zajęta wobec władz francuskich wrogą postawę i sprowokowała awanturę i strzelaninę na ulicy. Dopiero wojsko francuskie uspokoiło rozzuchwalonych Niemców. — Gmach policyi otoczono i policyantów niemieckich rozbrojono. Moment ten przedstawia zamieszczona w niniejszym numerze fotografia. Widzimy tam żołnierzy francuskich w rynsztunku bojowym, otaczających gmach policyi w Essen. Nadto zamieszczamy na tytułowej stronie kilka zdjęć z Essen, dokonanych w czasie rozbrajania policyi niemieckiej.

Baptyści w Krakowie.

Amerykańska misya Baptystów rozwija w Polsce dość żywą działalność zwłaszcza na polu humanitarnem. Niosła ona pomoc żołnierzowi polskiemu na froncie i ludności cywilnej, rozdając odzież (60 wagonów), żywność (40 wagonów) i kwoty pieniężne. Wewnątrz kraju misya zakłada szpitale i udziela zapomóg przytułkom starców, sierot i t. p. Udziela również materyalnej pomocy studentom.

W tych dniach bawił w Krakowie przedstawiciel amerykańskiej misyi Baptystów p. K. W. Strzelec. W dniu przyjazdu powitał go imieniem 300 studentów Uniw. krakowskiego, pobierających z misyi bezprocentowe pożyczki, zwrotne po 10 latach, akademik p. K. Janowicz, delegat na Zachodn. Małopolskę. Następnie odbyło się zebranie towarzyskie i wspólna fotografia, którą zamieszczamy w niniejszym numerze.

Nowe zawikłania na Wschodzie.

Na Wschodzie wciąż się kotłuje. Wprawdzie ustały działania wojenne pomiędzy Turcyą a Grecyą, ale dotychczas nie zostały załatwione wszystkie problemy tureckie, nad któremi tak długo radziła konferencya lozańska. Wypracowany przez nią układ został odrzucony przez „Zgromadzenie Narodowe“ w Angorze, jako nie dający się pogodzić z tak zwanym „paktem narodowym“ tureckim. Należy zaznaczyć, że „paktem“ nazywa się konstytucya, uchwalona przez zgromadzenie angorskie w r. 1920, mocą której ogłoszono suwerenność narodu tureckiego, pomyślaną w duchu nader skrajnym. Zniesiono mianowicie godność sułtana (uznając tylko jego prawa religijne, kalifat), a natomiast orzeczono, że organem suwerennym jest samo zgromadzenie narodowe, a prezydent jego ma być tem, co na Zachodzie nazywamy głową państwa.

Z „paktem“ tak daleko idącym nie da się oczywiście pogodzić tendencya układu lozańskiego.



Baptyści w Krakowie: Przedstawiciel amerykańskiej misyi Baptystów p. K. W. Strzelec (x) w grupie młodzieży akademickiej. (xx) P. K. Janowicz, reprezentant misyi na Zachodnią Małopolskę.

Ograniczał on prawa zarówno państwa, jak i ludu tureckiego bardzo dotkliwie. Dość tu wymienić nadzór finansowy z racyi długu otomańskiego lub reparacyi, przywileje obcych obywateli, rozbrojenie Turcyi, neutralizacya cieśnin i t. p. Od samego też początku, odkąd Ismet-basza przywiózł projekt układu z Lozanny do Angory, wybuchła przeciw niemu silna opozycya ze strony nacyonalistów tureckich. Opozycya ta idzie bardzo daleko. Narodowcy tureccy chcą mieć państwo narodowo jednolite, dość łatwo zgodzili się na odstąpienie Arabom Iraku, Jemerzu, Hedżasu, Palestyny i Syryi, zaprotestowali jednak przeciw utracie Mossulu na rzecz Iraku (a właściwie na rzecz Anglii) oraz Tracyi na rzecz Grecyi, a wreszcie przeciwko pozbawieniu Turcyi — panowania nad cieśninami. Te prądy opozycyjne, których nie potrafił przełamać Ismet-basza ani nawet Kemal basza pomimo całego swego wpływu, jaki posiada, ostatecznie zwyciężyły i Zgromadzenie Narodowe w Angorze uchwaliło odrzucić układ lozański. Uchwała ta ma niezmiernie doniosłe znaczenie, bo przekreśla prace konferencyi w Lozannie i stwarza nowe zawikłania na Wschodzie.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia przedstawia to historyczne posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w Angorze.

Skarby z przed 33 wieków.

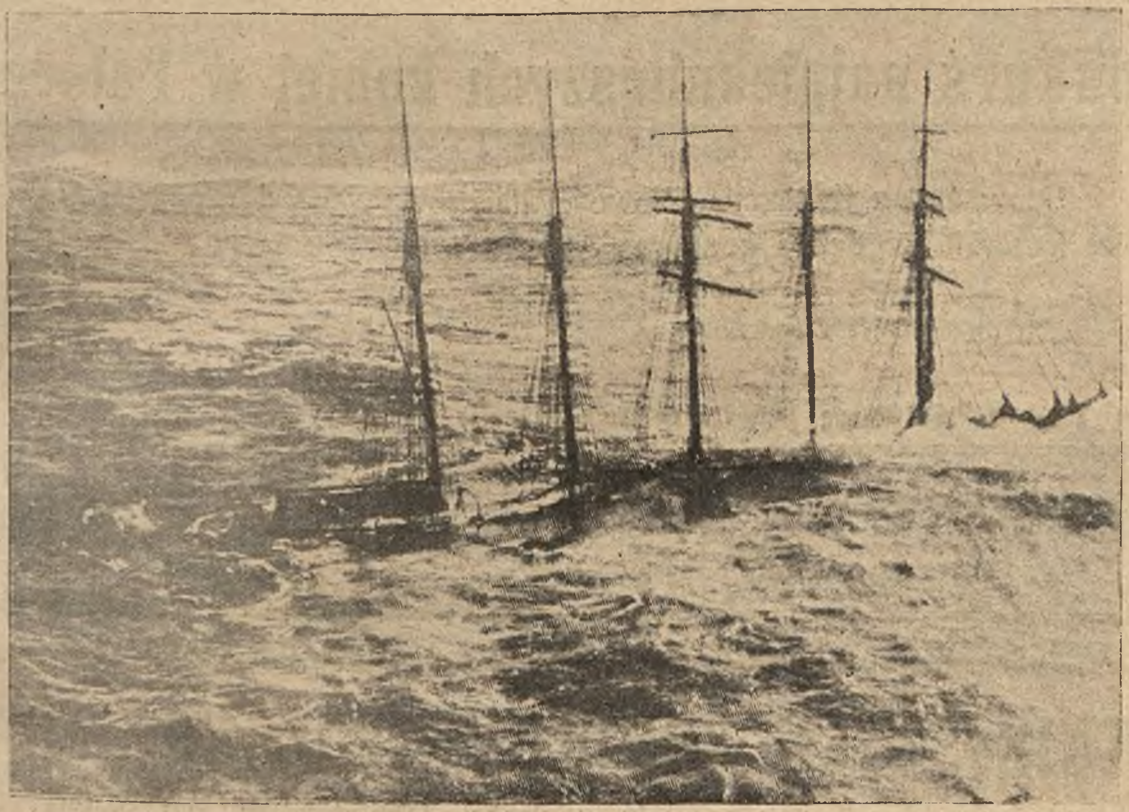
Odkrycie grobu Faraona Tutankhamona jest ciągle senzacyą światową, której pisma obu półkuli globu ziemskiego poświęcają całe szpalty. Dokonywane tam poszukiwania każdy dzień przynoszą nowe odkrycia. Przedewszystkiem ze znalezionych w grobie napisów dowiadujemy się, że Faraon Tutankhamon był synem Amenophisa III., a bratem przyrodnim, zięciem i następcą Amenophisa IV., tego najsławniejszego ze wszystkich władców egipskich, który chciał zreformować religię i sztukę i zaprowadził kult słońca. On był tym, który opuścił dotychczasową stolicę Teby, a wybudował nowę w pobliżu dzisiejszej Nomy. Nie osiągnął jednak swego celu, gdyż kapłani okazali się przecież silniejsi od niego. Umarł i został pochowany tutaj w dolinie „grobów królewskich“, gdzie teraz także znaleziono grób Tutankhamona. Jego następcy nie mieli tej energii, co on, zrezygnowali z walki i nic o nich nie wiemy. W siedm lat po nim wstąpił na tron Tutankhamon. Mieszkał on przez kilka lat w stolicy, wybudowanej przez swego brata przyrodniego, ale



Nowe zawikłania na Wschodzie: Posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w Angorze, na którem zapadły doniosłe uchwały. Na trybunie Kemal basza.



Skarby z przed 33 wieków: Straż u wejścia do grobowca Faraona.



Katastrofa niemieckiego okrętu w Kanale La Manche: Pięciomasztowiec *Adolf Vinner*, który uległ rozbiciu u południowego wybrzeża Anglii.

w końcu uległ w walce z kapłanami i został zmuszony do przeniesienia stolicy z powrotem do Teb. Próba wprowadzenia kultu słońca została zarzucona. Tutankhamon umarł młodo i bezdzietnie. Z wizerunków i figur można widzieć, że był pięknym młodym mężczyzną, z twarzą o wyrazistym, rasowym charakterze.

Najciekawszą rzeczą w odkrytym grobowcu są liczne dzieła sztuki. Wskazują one, jaką doskonałość osiągnęła sztuka w Egipcie już cztery tysiące lat temu. Nawet najtwardsze materyały, jak np. czarny granit obrabiano z cudowną wprost techniką. Twarze figur są wykonane tak doskonale i z takim wdziękiem, że trudno znaleźć podobne nawet w nowożytnej sztuce. Tutankhamon musiał być wielkim mecenasem sztuk pięknych, jeżeli uznano za konieczne ucieszyć go w drugiem życiu taką ilością i różnobarwnością jej dzieł.

Katastrofa niemieckiego okrętu w Kanale La Manche.

Kanał La Manche, oddzielający Anglię od stałego lądu Europy, znany jest dobrze wszystkim żeglarzom, jako jeden z najniebezpieczniejszych obszarów morskich. Częste mgły, jakie tu panują, prawie ustawiczne wichry i huragany utrudniają w nadzwyczajny sposób żeglugę, skaliste wybrzeża i liczne rafy podmorskie czyhają na każdym kroku na okręty i niejeden najśmielszy „wilk morski", czujący się na falach oceanu, jak u siebie w domu, wpływając w Kanał doznaje niepokoju, nieraz nie przeczuwając nawet, z której strony grozi mu niebezpieczeństwo.

Te okolice są też bardzo często widownią katastrof, a dno morskie stało się grobem dla wielu setek okrętów i tysięcy ludzi. Nie tak dawno wspominaliśmy o katastrofie jakiej uległ parowiec transportowy angielski „Egipt", obsługujący linię Anglia—Indye, obecnie mamy do zanotowania nowy wypadek, którego ofiarą jest niemiecki żaglowiec, *Adolf Vinner*, na szczęście tym razem bez ofiar w ludziach.

Nieszczęśliwy wypadek wydarzył się niedaleko Cap Lizard, na południowem wybrzeżu Anglii. W czasie gwałtownej burzy, znajdując się mniejwięcej na wysokości Cornouailles, najechał *Adolf Vinner* na podmorską skałę i doznał tak poważnych uszkodzeń, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż chwile jego są policzone. Na rozpaczliwe alarmy o ratunek pospieszono z nim z najbliższego portu we Falmouth, mgła jednak i wzburzone morze utrudniały w wysokim stopniu akcyę ratowniczą, w końcu jednak udało się ocalić od niechybnej



Skarby z przed 33 wieków: Nieocenionej wartości przedmioty, znalezione w pierwszej piwnicy, prowadzącej do właściwego grobowca Tutankhamona.

śmierci dwudziestu pięciu ludzi z załogi rozbitego okrętu. Na pokładzie *Adolfa Vinnera* pozostał jedynie kapitan i czterech oficerów, którzy w chwili, gdy barki ratownicze z nadludzkim wysiłkiem dotarły do miejsca katastrofy, znajdowali się w tyle okrętu. Ci pięciu noc całą przepędzili w śmiertelnej trwodze, trzymając się kurczowo przedniego masztu, dopiero nazajutrz rano powiodło się uwolnić ich z strasznego położenia i przewieźć na wybrzeże, a w niedługi czas potem pogrążył się rozbity okręt w falach morskich.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki – artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia – kobiety. Twarz kobieca – ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem**. Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się powyżej. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.“ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie czytelników „Nowości Illustrowanych“**. Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** – Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.